№ 30.

Bióro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Światu Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 14 (26) Lipca 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, *w Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.



„ROZBROJONY” kopia obrazu Rurawskiego,

z Wystawy Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. (str. 236).

ROK DZIEWIĄTY HEGIRY.

Z Legendy Wieków W. Hugo.

PRZEKŁAD

KLEMENSA PODWYSOCKIEGO.

Jakby czuł, że dni jego zliczone, — nikogo
Milczący zarzutami nie karcił — zbyt srogo;
Uprzejmie witał wiernych spotykanych w mieście;
Starzał się w oczach ludu, choć ledwo dwadzieście
Włosów białych miał wtedy w czarnéj jeszcze brodzie.
Przystawał gdzie wielbłądy schodziły ku wodzie
I rozmyślał, jak pasł je ongi przez lat tyle.

To dumał przed świątynią długie często chwile,
To kazał stawiać przed się białogłowę nagą —
Patrzał w nią—potém w niebo — i mawiał z powagą:
„Piękność mieszka na ziemi, światłość w niebie gości.“
Zdawało się, iż pomnił złoty cykl miłości —
Widział Eden — znał wieków dzieje tajemnicze.
A czoło miał wysokie, monarsze oblicze,
Brew rzadką, oczy, w których, rzekłbyś Allach żyje
I jak amfora srebrna, tak miał pyszną szyję.
Był, jak Noe, co zbadał sekret potopowy.
A kiedy lud po radę zbiegał się doń, mowy
I kornych i przeczących słuchał jednakowo,
W milczeniu i ostatni swe wyrzekał słowo.
Na ustach jego wiecznie tchnienie modłów drżało —
Gniótł kamieniem żołądek, aby jadać mało.

Umartwiał się on mocniéj, choć już stargał zdrowie
I młodość, niż w dni postu Allacha synowie.

Lat sześćdziesiąt trzy kończył, gdy gorączka głucha
Weszła w krew mu. — Alkoran, dzieło swego ducha,
Odczytał, — sztandar złożył w dłoń Seida syna,
Mówiąc: „Już słońce moje chylić się poczyna:
Nie masz Boga nad Boga, — walcz dla Jego chwały.“
Oczy jego zamglone orła ból zdradzały,
Co gniazdo rzucić musi zdawna miłe sobie.
Zawsze jednak w meczecie był o zwykłéj dobie —
Wchodził na Alim wsparty, lud szedł za prorokiem
A sztandar igrał z wiatrem w przestworzu szerokiém
I tam, on wołał blady do tłumu: „O biada!
Światło gaśnie, a człowiek w wieczną noc zapada;
Noc i proch, to my wszyscy! Bóg sam tylko — wielki!
Jam ślepy, o mój ludu, bez wiedzy kropelki!
Bez Boga, byłbym brzydsze, niż zwierzęta, śmiecie!“
Jeden z szejków mu odrzekł: „Wodzu wiernych! Przecie
Świat, skoro przemówiłeś, w twe uwierzył słowa;
W dzień przyjścia twego na świat błysła gwiazda nowa—
Trzy wieże z Chozroesa gmachu padły w złomy!“
On na to: „Zgon mój waży tam Sąd niewidomy.
Godzina już się zbliża. Jeślim złą, zuchwałą
Mową tu zelżył kogo, niech wystąpi śmiało!
Niech mię łży i znieważa — będę stał, jak stoję!
Uderzony, niech pomści wszystkie razy swoje!“
I kij swój przechodniowi oddał z temi słowy.
Staruszka, co baranka strzygła u budowy
Sąsiedniéj, zawołała z progu: „Allach z tobą!“

Widzenie jakieś niby gniotło go żałobą —
Stał w zadumie i nagle zabrał głos nanowo:
„Ludu! ludu! jam tylko z ust Allacha—słowo.
Jam proch, nic, jako człowiek; jako prorok — płomię!
Jam Issy światło odkrył, roziskrzył widomie;
Jam jest siłą, a Chrystus był słodyczą Nieba.
Tak słońcu na zwiastuna blasków zorzy trzeba.
Był przedemną, lecz nie był on początkiem. Wiecie,
Z rywalki róż on zrodzon, z dziewicy na świecie.
Jako istota ziemska, ja, pomnijcie o tém,
Jestem tylko w nałogach zapleśniałém błotem;
Ciało moje przez pokus szereg przeszło duży —
Ma plam na sobie więcéj, niż droga kałuży.
Zbrudzone przez zło wszelkie, słabe moje ciało,
Zczerniałe, rychłoby się w prochy rozleciało,
Gdyby z każdego grzechu, o mój ludu miły,
Z każdego błędu czerwie w grobach się płodziły.
Pod ziemią wciąż ożywa potępieniec zmarły
Po to, by go robaki toczyły i żarły..
Aż skończy się straszliwa ta pokuta, dzieci!
I w jasną nieskończonność duch wolny uleci.
Jam pole walk wspaniałych: to wspól ze Świętymi
Jam człowiek był Niebieski, to znów zlepek z ziemi.
Zło z dobrém w ustach moich splątałem obłudnie,
Jak w pustyni się żenią z morzem piasków studnie.
A pomimo to, wierni, ja stawiłem czoło
Strąconym tym aniołom, co czyhają wkoło,
By popchnąć duch człowieka w ciemności bez końca.
Często im gniotła karki dłoń ma druzgocąca.
Często, jak ongi Jakób, z wytężeniem całém
Walczyłem w nocy z kimsić, kogo nie widziałem.
Lecz nadewszystko ludzie krwawili mi życie —
Ciskali złość swą we mnie, wyrzekali skrycie —
Lecz że prawdę w swém łonie czułem, przeto z chwałą,
Bez gniewu, jam wziął górę nad tą rzeszą całą
I śród walki wołałem: „Dajcie wrogom pole!
Ja, sam, krwią obluzgany, nagi — i tak wolę.
Niech wszyscy we mnie biją, złości puszczą wodze!
Gdyby nawet się na mnie już uwziąwszy srodze
Wrogowie moi, mieli słońce z lewéj strony,
Księżyc z prawéj w sojuszu,—i wtedy, znurzony,
Nie cofnę się przed nimi, nie pierzchnę. I oto —
Po bojach lat czterdziestu ze złością, ciemnotą,
Gdy nad grobem głębokim, złamany dziś stoję,
Przedemną Bóg, a za mną—świat i dzieci moje.
O wy, co szliście za mną, przez prób szlak przebyty,
Jak Grecy w ślad Hermesa, Hebrajczyk—Lewity,
Cierpieliście niemało, lecz zorza nad wami!
O tak, po nocach czarnych słońce błyśnie dniami!

Potém: „Wierzcie, czuwajcie, w nic ukorzcie czoła!
Ci, co nie są dobrymi, ani złymi zgoła,
Piekieł, ani Edenu tam nie będą godni,
Jako czarni dla Boga, a biali dla zbrodni.
Nikt prawie tu nie przejdzie bez obrazy Boga,
Bez winy i bez zmazy. — Gdy modlitwa błoga
Duch oskrzydla, jéj skrzydłem dotykajcie ziemi
Bo piekło tego spali ogniami strasznemi,
Kto popiołów tu nie tknął. — A wielki sąd Boży
Tym co proch całowali, tam Niebo otworzy.
Bądźcie gościnni, dobrzy, sprawiedliwi. Za to
Owoce drzew przeczystych tam będą zapłatą;
Rumaki z pysznym rzędem; o płomiennéj osi
Ten wóz, co w siódme Niebo wiernych stąd unosi;
Huryska, co świetlana, rajem nas owionie,
Tam mieszka w wyżłobionym w perle pawilonie.
Gehenna na złych czeka. O, tam potępieni
W sandałach mają ognie; żar ciągłych płomieni
Mózg — we wrzątek, a w wulkan ich przerobi — głowy.
W wybrańców zasie piersiach będzie blask godowy!“

Wstrzymał się, jakby dawał duchom posłuchanie.
Potém w tłumach szedł zwolna i rzekł, patrząc na nie:
„Zaprawdę wam powiadam już godzina bliska,
Która drzwi mi otworzy nowego siedliska.
Więc spieszcie się. Niech wszyscy, co mię tutaj znali,
Obwinią mię otwarcie, czy wielcy, czy mali.
I jeślim co zawinił, niech w twarz plwają śmiało.“

Tłum przed nim się usuwał, niemy—on wspaniałą
Brodę swą w Albufeja umył świętéj strudze —
Trzy drachmy dłużnikowi spłacił — i rzekł: „Cudze
Lepiéj jest tu oddawać, niżli tam, wysoko.“

Czułe, jak gołębicy, było ludu oko,
Patrzące na Rozjemcę swojego, tam, w Niebie.
Lud płakał. A gdy wrócił Mahomet do siebie,
Tłumy przez noc czuwały u domu. — I słońce
Zastało na kamieniach tłumy te płaczące.
Nazajutrz, gdy dzień wybiegł w lazurową drogę,
„Albubekrze! zawołał — powstać już nie mogę —
Weź księgę i modlitwę rozpocznij!“ — Aisza
Małżonka, stała w dali, drżąca.. Była cisza —
Niewiasty słuch był w modłów słowa zatopiony —
A usta przywtarzały strofom antyfony.
Lud szlochał. Aż gdy słońca blaski dogasały,
Stanął u drzwi Proroka anioł śmierci biały
Pytając, czy wejść może? „Otwórzcie szeroko
Drzwi,“ rzekł Prorok.—„Niech wnijdzie!“ I zaszklone oko,
Jak w chwili przyjścia na świat, zabłysło w jasności.
Anioł rzekł: „Allach żąda twojéj obecności!“—
—„Więc idę!“ Skrzydła śmierci o skroń się otarły —
Oddech usta mu rozwarł... Mahomet był zmarły.

WIĄZANKA.

Za co tę porę, w której obecnie pod ognistemi promieniami słońca żyjemy, nazwano „porą ogórkową“ nie wiemy, a przynajmniéj nie możemy zrozumieć znaczenia jéj dla Warszawy w tym roku. Bo ogórki dotąd u nas bardzo drogie, a nawet nie wiele ich pokazuje się na targu. Owszem, porę teraźniéjszą, w któréj róże i wszelka rzesza kwiatów wonieje, a klasyczny Zefir powiewa łagodnie, poruszając listki na drzewach i... ..przyprawne loki warszawskich — modniś, należałoby może nazwać raczéj *migdałową*, a to od marzeń o „niebieskich migdałach„ które obecnie po wszystkich głowach krążą — chociaż prawdę mówiąc, marzenia tego rodzaju o każdéj roku czy nawet dnia godzinie, łatwy do głów naszych przystęp znajdują. Możnaby także, bez popełnienia anachronizmu, nazwać czas obecny „wodnie mineralnym“ lub „willegiaturowym“ a od biedy to i „antimatrimonialnym“ także: albowiem wszystko co żyje, rozumie się, co posiada nerw życia, pieniądze — rozjechało się do wód i kąpieli mineralnych lub odpoczywa roskosznie w jakiejś wiejskiéj, osłoniętéj od much i komarów ustroni; lecz ani u wód ani na willegiaturze, ani tém mniéj na rospalonym bruku miejskim, nikt w téj upalnéj porze żenić się nie myśli, odkładając takie akta do jesiennych lub zimowych miesięcy. — Jak widzicie, z tego pozornie tak chaotycznego wstępu, możnaby przecież wydobyć aż trzy, arcy bieżące i wielce humanitarne kwestye: Wędrówki do wód mineralnych, emigracyą na letnie mieszkania i ślubo - wstręt ogólny.

Pierwsza z tych kwestyj ma niemałe, nie tylko moralne lecz i ekonomiczne znaczenie—a jak w tym roku to zawiera w sobie i sens moralny tak wydatny, że mógłby posłużyć za dewizę lub za tendencję tym z pism warszawskich lub autorów, którym obudwóch tych emblematów literackich radykalnie brakuje. Bo najprzód, doroczne wycieczki do wód i kąpieli, przyczyniają się ku przewożeniu tu z zagranicy, mnóstwa niepotrzebnych naleciałości, które pod nazwą: *blagi*, *szyku* i *komfortu*, coraz bardziéj aklimatyzują się u nas; powtóre, wycieczki te zwiększają wprawdzie tak drobny nasz handel wywozowy, lecz że wywozimy w nich gotówkę a przywozimy natomiast całe paki niedorzeczności lub kaprysów, przeto i w ekonomicznym względzie bankrutujemy na nich szpetnie. Szczęściem, że „sens moralny“, o którym wspomniałem, pozwala zakończyć rozbiór téj kwestyi arcy pocieszającą uwagą, iż w tym roku, z powodu rozmaitych postronnych okoliczności, głównie zaś z powodu nastraszenia miazmatami jakoby pozostawionemi przez rannych, w wagonach zagranicznych, przeważna liczba zwykłych w téj porze turystów i turystek, zamiast pojechać do Bad-Baden, Vichy, Plombiers lub do... Homburga, na suchą przy rulecie łaźnię, pozostała w Ciechocinku i Busku, Solcu, Druskienikach i innych krajowych wodach. Tym sposobem kapitał ktory miał przejść do kieszeni francuzkich i niemieckich hotel-metrow i restauratorów, zasilił miejscowe mineralne zakłady—które też odwdzięczając się za to, po ludzku—podniosły ogromnie ceny lokali i produktów żywności—obniżając natomiast ich wartość.

A druga-ż z kolei kwestya—willegiatury, — czyli mówiąc ojczyście, „mieszkań letnich“ czyż nie jest również ważną a wielce malowniczą nadto? Bo tylko wyobraźcie sobie ten nagły, co rok powtarzający się pochop warszawian, zamożniejszych lub przynajmniéj niezależnych od dziennego w mieście zarobku—którzy pakują się, łamią sprzęty i odnajmują z meblami na zniszczenie stałe swoje w Warszawie siedziby, po to tylko, ażeby przepędzić najczęściéj słotną, trzymiesięczną porę, w chatach nieopatrzonych, niewygodnych, reumatycznie - przewiewnych, i wydać ciało i krew swoję na pastwę rozmaitych, latających, skaczących lub chodzących owadów, a na domiar roskoszy wiejskich, obchodzić się bez świeżych gazet i, co gorsza, bez świeżego mięsa!

Trzeciéj kwestyi: wstrętu do zawierania małżeństw, rozbierać nie chcemy—kwestya za zimna a czas za gorący ku temu... zresztą, nie wątpimy że to złe statystyczne... wkrótce przeminie, gdyż w społeczeństwie dobrze uorganizowaném i żywioném dostatnio, zawsze się znajdzie znaczna liczba indywiduów chętnych do śpiewania staréj piosenki, zaczynającéj się od słów „Dwa serca złączone, klucz rzucony w morze.“

Warszawa w téj chwili, nurza się lub moknie w Wiśle, od poranka do nocy. Orzeźwiające te kąpiele, zdrowsze może od wielu zagranicznych, byłyby pożądańszemi jeszcze, gdyby właściciele, tak zwanych, łazienek, a w rzeczy, bud mizernych, skleconych na prędce z tarcic drzazgowatych lub sękatych, więcéj się troszczyli o wygodę gości, już i tak, przez długoletnie przywyknienie, nie wymagających wiele. — Powiadają że teraz, świeżo przyholowane przez parowiec „Kopernik“ łazienki, ze szkołą pływania, mają odpowiedzieć wszelkim wymaganym warunkom. Nie przecząc temu stanowczo, pozwalamy sobie zachować ostrożną wątpliwość, albowiem pp. właściciele takich szop pływających, wiedzą dobrze o tém, że w braku lepszych i wygodniejszych, publiczność musi poprzestać na złych i niedogodnych nawet—a potém, kąpiele wiślane są tak zalecane pod sanitarnym względem, i nakoniec, są to jedyne może miejsca w których wierzyciele, przez samą logikę, nie napastują swoich dłużników, tak widocznie gołych...

A teraz... obmywszy w wodzie wiślanéj, jaskrawsze lub zaśniedziałe koncepcje, zawarte w pewnéj części téj „Wiązanki“ powiadomię was, *carissimi lettori*, o poważniejszych, godnych szczerego uznania a niemniéj przeto interesujących ogół tutejszy faktach, lub nowinach.. Zresztą, pomimo pewnéj licencyi, jaka już z samego zwyczaju jeżeli nie z zasady gwarantuje się tym sprawozdawczym, *quasi* fieljetonowym rubrykom, po pismach peryodycznych, do jakich i nasza „*Wiązanka*“ się zalicza, nie myślimy jednak przeważnie trzymać jéj w zbyt lekkim tonie i w nazbyt jaskrawéj barwie, zwłaszcza w mieście:

„Gdzie koncept chociaż w druku, bywa tak powszedni.

Może z was kto „pomimo gromów pozostałych w uszach po franko-niemieckiéj wojnie“ pomimo, koncertów Bilsego, wezbrań Wisły, jarmarku wełnianego, wyścigów konnych, loteryi fantowéj i.. ogródkowych teatrów—pamięta jeszcze że onego czasu, tak przed dziesięciu laty, żył na świecie poeta, nazwiskiem Ludwik Kondratowicz, znany pod pseudonymem Syrokomli? Wprawdzie, wiersze i poezya, to rzecz daleko mniéj *warta* od banków różnorodnych, akcyj i premiowych papierów — lecz posądzam was jednak, tych zwłaszcza, którzy ani banków, ani akcyj i papierów giełdowych nie macie—że nie zapomnieliście jeszcze ostatecznie o biednym „Liriniku wioskowym“ co *skonał grając na lirze* — a może i o tém słyszeliście nawet, że pozostawił on po sobie liczną rodzinę, z sławném wprawdzie nazwiskiem, lecz bez chleba. Otóż, obecnie, człowiek dobréj woli, mianowicie zaś wydawca „Tygodnika Illustrowanego“, właściciel pierwszéj w Warszawie drukarni, p. Józef Unger, wydaje cały komplet dzieł ś. p. Syrokomli, a poddawszy pod ocenienie komitetu, złożonego z znaczniejszych księgarzy tutejszych i literatów, ustanowienie ściśléj ceny za druk i papier, cały dochód czysty ze sprzedaży tych dzieł, na korzyść pozostałéj po Syrokomli rodziny przeznacza. Ponieważ cena tak skompletowanych prac Kondratowicza będzie podobno bardzo umiarkowaną i ponieważ wiele z płodów tego natchnionego poety, jak Dęboróg, Margier, Kęs chleba i t. d. i t. d., są prawdziwymi klejnotami literatury naszéj, godzi się przeto mniemać, że kupcie sobie to dzieło, choćby nawet za pozostałe z podróży do wód, z willegiatury i oszczędzone z ogródkowych teatrów pieniądze..

W téj porze odbywają się kolejnie, tak nazwane doroczne wizyty jeneralne, po Ochronkach tutejszych. Uważaliśmy z wielką pociechą, że we wszystkich prawie tych prawdziwie filantropijnych zakładach panuje nietylko porządek wzorowy—lecz i szczera o umoralnienie i edukację ubogich dziatek, troska.

Prócz trzech, już dokonanych loteryj fantowych, czwarta podobnaż, na dochód głównego domu schronienia dla ubogich izraelitów, odbędzie się (jeżeli deszcz pozwoli) w dniu 15 p. m.

Nie wiem czy będzie to dla was nowiną że obecnie zakłada się w Warszawie nowa drukarnia, pod firmą Maciejewskiego, w domu L. Kronenberga, przy ulicy Długiéj, i że nowe jatki rzeźnicze, budowane przy zbiegu ulic Podwale i Nowomiejskiéj, są już na ukończeniu. Nie będąc wróżbiarzem, można wszelako przepowiedzieć, że ta ostatnia *Oficyna* więcéj daleko ściągnie konsumentów.—Pokarm wołowy od duchowego smaczniejszéj !...

Pokazało się ze sprawozdania po zwiniętym zakładzie dla nauki kobiet, pani Schmidt, ze istotnie tylko ubogie uczennice, chodzące tam na naukę krawieczczyzny i szycia, regularnie przez cały kurs uczęszczały—w innych zaś, bardziéj intellektualnych oddziałach, uczono się tylko „na niby.“

△

WACŁAW SZYMANOWSKI.

(Dokończenie).

Najważniejszą część dotychczasowéj działalności Szymanowskiego wypełniają prace dramatyczne. Z początku pisał on komedye, następnie przecież przeniósł się do dramatu, którego też bliższy jest usposobieniem i rodzajem talentu. W komedyach Szymanowskiego brak tego, co jest właściwym komedyi żywiołem — brak komizmu.... Jest on tu zapoważny — sięga zagłęboko do serc ludzkich, a mimo to zapowierzchownie przedstawia charaktery. Ztąd pewna monotonność — bezbarwność lub nawet konwencyonalność. Komedya Szymanowskiego p. t. „*Dzieje serca*,“ komedya konkursowa i premiowana, posiada też same wady — a najważniejszą z nich podobno, że jest więcéj poematem, niż komedyą. Dwie inne: „*Matka*“ i „*Siła złego na jednego*“ bliższe prawdziwego typu komedyi, a mimo to czuć w nich przeważający żywioł poetyczny, pewną zawysoką szlachetność dykcyi, jak na utwór tego rodzaju, nastrój niewłaściwy i nieodpowiedni.

Inaczéj być nie mogło. Szymanowski na komedyopisarza stworzonym nie jest i jego komedye dowodzą tylko wysokiéj umiejętności pisania, nieożywionéj odpowiednim talentem. Co innego z dramatem. Tu Szymanowski jest na właściwém polu, a jego utwory téj klasy stawiać trzeba wysoko.

„*Salomon*“ dramat napisany w r. 1854 i 5, grany zaś na scenie krakowskiéj kilka, a na warszawskiéj parę lat temu, jest utworem niepospolitéj wartości. Oprócz wad w obmyśleniu całości, usterek drobnych zresztą, od których jednak Szymanowski nigdy

wolnym nie jest, utwór ten posiada całe akty i sceny wysoce piękne, miejsca głębokiego, dramatycznego nastroju. Akcya nadzwyczaj prosta, siła ciągle rosnąca a oparta na szlachetnych działaczach, na poruszeniach duszy, na ścieraniu się i walce zasad i przekonań — są zaletami, których.... niestety, dzisiejsze pokolenie, popsute na francuskiéj gorączce, ocenić dostatecznie nie potrafi. Co do nas, „*Salomona*“ liczymy do pierwszorzędnych dramatów. „*Sędziwoja*“ (1859) stawiamy niżéj od „*Salomona,*“ bo w nim autor szedł więcéj za obcymi wzorami, niż za popędem własnéj oryginalności — ale niepodobna odmówić temu utworowi zalet, dla których zajmie w literaturze poważniejsze stanowisko. Jest tu wiele scen charakterystycznych, wiele ruchu — akcya żywa i zajmująca, dykcya podniosła i łatwa. Sama tylko postać główna wychodzi niejasno, zagadkowo... widocznie autor nie odczuł jéj i nie ukochał— nie dał jéj więc wyraźnego celu istnienia i nie scharakteryzował odpowiednio. „*Ostatnie chwile Kopernika*“ obraz dramatyczny (1855 r.) raczéj poemat wzniosły — jest żywém przedstawieniem genialnego astronoma, wiernym portretem téj pięknéj postaci — miniaturą ujętą w ramki artystyczne i po mistrzowsku wykonaną. Szkodzi tu tylko całości owa zbyteczna wierność, z jaką autor odwzorował Kopernika — na czém tu i owdzie szwankują wymagania estetyczne.

Dramaty Szymanowskiego noszą na sobie cechę wysoce artystyczną, piętno poważnego nastroju — wyłączającego arlekinadę łatwych efektów, tak ulubioną przez zdolniejszych nawet pisarzy obecnego stulecia. Jest to zaleta, dla któréj te piękne prace stają się klejnotami dla znawców, dla codziennych zaś tłumów nie przedstawiają żywego interesu. Dzieje się to bardzo prostym sposobem. Szymanowski widocznie nie uznaje tak zwanego dramatu *intrygi*, polegającego na fajerwerkowych sytuacyach, na niespodziankach nieprawdopodobnych, i w tém się mija z popsutym gustem publiczności. W większéj części tego rodzaju zdawkowych fabrykatów daru słowa używa się na konieczną potrzebę; — nierzadko zdarza się tam krzykliwa karykatura, miasto charakterów, mających pewną wspólność z zasadami piękna. W dramatach Szymanowskiego dzieje się przeciwnie. Pełno tu piękna w drobnych szczegółach, w dykcyi, w pojedynczych czynnikach formy, w wierszu nawet, wykończonym po mistrzowsku. W przedstawieniu charakterów odbija się taż sama staranność o piękno, toż samo jego ukochanie. W kreacyach Szymanowskiego, po większéj części, widnieją wcielone ideje — upostaciowane zasady i przekonania. Gdyby autor z równą starannością przeprowadzał całość, gdyby z równą miłością opracowywał ogólny plan utworu, podobne zalety czyniłyby z jego prac rzetelne pomniki piękna. Na tym punkcie Szymanowski szwankuje......

Nie tylko dramaty oryginalne, ale i tłumaczenia jawnie dowodzą szlachetnych pojęć Szymanowskiego, o tego rodzaju utworach. Sam wybór do przekładu „*Dzieci Edwarda*“ i „*Paryż*“ Delavigne'a, popiéra nasze zdanie. Z tłumaczonych komedyj „*Honor i pieniądze*“ Ponsard'a dowodzą tego także. Takie pojęcie prac dramatycznych, jeśli je zsumujemy z tém, cośmy wyżéj powiedzieli o utworach poetycznych Szymanowskiego, wykazuje jego poważne zapatrywanie się na sztukę, jego ukochanie piękna. Jeżeli także zsumujemy wszystko, cośmy dotąd mówili o jego pracach — wypadnie ztąd wniosek, że Szymanowski jest przeważnie poetą, że rodzaj jego talentu jest głównie poetycki, że nadto jest mistrzem formy, chociaż nie rzadko ze szkodą saméj treści. Pewne także wadliwości w jego pomysłach dowodzą jasno, że przychodzi do nich drogą pośrednią, drogą chłodnego może rozmysłu — pracy, nie zaś gorącego natchnienia. Pod tchnieniem artysty kreacye nabierają życia, ruchu, kształtów, czasami posągowych nawet, ale rzadko téj prawdy, która z natchnienia się rodzi. Droga to pochodu dłuższa, niezaprzeczenie, przecież do celu doprowadzić może — a jeżeli Szymanowski nie zawsze do niego dochodzi, to może dla tego, iż mu brak wytrwania przebiedz ją całą, i że ufa, iż w formy piękna doskonałe, jak w czarę bogom poświęconą, zejdzie duch z górnych wyżyn, by się w nie wcielić.

Wiele z prac Szymanowskiego wyszło w druku. Z rzeczy pisanych prozą i nic wspólnego z poezyą nie mających, ciekawe są: „*Szkice warszawskie*“ (1855 r.) i „*Lichwiarze.*“ Są to studia obyczajowe i szkice z natury, pisane z życiem i werwą a tu i owdzie ze swobodnym dowcipem. Takich szkiców rozsypał Szymanowski mnóstwo, po rozmaitych warszawskich pismach, a szczególniéj w *Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych*, w *Dzienniku Warszawskim* z r. 1851 i 2 i w *Tygodniku Illustrowanym*. Są to artykuły luźne, pisane bez pretensyi, mimo to przecież zajmujące i dające dokładne rysy społeczeństwa. Do zajęć redakcyjnych Szymanowskiego należy dodać i „*Kuryer Warszawski*“ którego redaktorem został od r. 1867, i w którym bardzo często pojawiają się jego szkice obyczajowe i oderwane wierszyki, satyrycznego pokroju.

Szlachetne pojmowanie literackiego zawodu i sumienność w opracowaniu przedmiotów podniosłego znaczenia, cechują Szymanowskiego, jako pisarza. Ztąd stanowisko jego w obec dzisiejszego piśmiennictwa jest poważne i szanowne. To stanowisko sprawia, że około niego grupują się zawsze młode talenta, siły świeże; że te młodzieńcze siły znajdują w jego radach zachętę i naukę,—że z drugiéj strony mnożą się przeciwnicy, którzy z zawiścią patrzą na wpływowość Szymanowskiego, i zawiści w publicznych szamotaniach się najniezręczniéj dowodzą. O ile znamy Szymanowskiego, mogliśmy domyśléć się że podobne objawy osobistéj nieżyczliwości nie czynią na nim spodziewanego wrażenia. Jego umysł jasny, jego wrodzona wesołość i swoboda — obracają to raczéj w żart, otaczają lekką ironią.... robią sobie z tego przedmiot dla nieszkodliwego dowcipu. I to jest cechą charakteru Szymanowskiego, jako człowieka, że mało bacząc na umyślnie stawiane sobie przeszkody— idzie wytrwale daléj.

Żałujemy niezmiernie że brak miejsca nie dozwala nam odmalować czasu i ludzi, wśród których Szymanowski rospoczynał swoję literacką karyerę. Z takiego szkicu, z obrazka owych czasów, pokazałoby się, jak postacie pojedyncze rosły, jak zabierały coraz poważniejsze miejsca — jak inne po fajerwerkowym blasku—nikły, lub upadały w nierównéj walce. Po upływie lat trzydziestu, wiele, bardzo wiele pod tym względem zmian zajść musiało, — a mimo tych zmian, kilka osobistości dziś jeszcze w pełni sił, życia i pracy, stanowi teraz kółko pracowników wytrwałych i niezmienionych. Lenartowicz, Szymanowski, Kenig — po drugiéj zaś stronie grono starszych współpracowników sędziwéj *Biblioteki*, oto i wszyscy, z owych czasów pozostali, krzątający się około sprawy piśmiennictwa.

Stanisław M. Rzętkowski.

ROZBROJONY.

Kopia z obrazu Rurawskiego.

Obraz, pod powyżéj wyrażonym tytułem znajdujący się obecnie na warszawskiéj wystawie, jest raczéj krajobrazem leśnym, niż rodzajową kompozycyą. Dwie figury, umieszczone na samym jego środku i wcale nie na pierwszym planie, zdają się tu grać podrzędniejszą rolę... Są niby dopełnieniem koniecznem pejzażu, który też głównie zwraca uwagę widza. Tymczasem tytuł zdaje się owym figurom, wdzięcznym i dobrze namalowanym, nadawać ważność kardynalną... Jako pejzaż, obraz należy do utworów bardzo pięknych. Wiele tu prawdy, wiele natury, a wgłębienie lasu, oświetlone wdzierającymi się promieniami słońca, pociąga znawców i pobudza do szczerego oklasku. Sielanka odgrywająca się wśród majestatu natury jest tak jasną i zrozumiałą, że jéj tu tłumaczyć nie potrzeba.... Miłość znalazła tu sobie ciche ustronie—wypełnione spokojem, uroczystością i tajemnicą. Nikogo w około... Bóg tylko na niebie. A ów, co się wybrał do lasu z zgubnymi zamiarami dla biednych, leśnych mieszkańców, musi złożyć broń w obec czarownéj boginki... Miłość go rozbraja—i tą razą strzał nie przeszyje piersi lękliwéj łani. On jest *rozbrojony*, — ona *rozbrajającą*...

OBRAZY DAGESTANU

przez

R. Klonowskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Lekceważenie i wzgarda kobiety, w skutek pojęć religijnych muzułmanów, zrobiły ją w oczach górala jakiémś bydlęciem roboczém. Wszystkie trudniejsze prace gospodarskie wypadają na

dolę kobiet i eszaków (1). Na każdym kroku można spotkać to zwierzę, naładowane drwami, sianem, lub zbożem, a obok niego, z takimże ciężarem, kobietę — góralkę. Liweranci odstawiający żywność dla wojsk w kraju konsystujących, naznaczają wagę ładunku zwykle 3 pudy na eszaka; tyleż zupełnie tutejsze kobiety, żeby zarobić 40 do 60 kop. sr., przenoszą na sobie, czasem więcéj niż 30 wiorst, i to po górnych ścieżkach przez które ledwo przejść można.

Nim poczty były urządzone w Dagestanie, korrespondencye przesyłano od wsi do wsi. Leniwi górale i od téj czynności siebie zwolnili, zmuszając swe żony do odgrywania roli pocztylionów. Nieraz napotykano kobietę idącą z pakietem, wetkniętym w rozszczepioną pałkę.

Na wszystkie nawet przyjemności życia górala szariat nałożył swoję ciężką rękę i zrobił je nudném, bezbarwném i udręczoném. Tańce, śpiewy, muzyka, oraz palenie tytoniu, srogo są przez szariat *wzbronione* i prześladowane. Szamil żołnierzom swoim pozwalał tylko śpiewać Zikrę, składającą się z ciągle powtarzanych słów: nie ma Boga prócz Boga! Krajowiec złapany z maleńką na cienkim cybuszku fajeczką, pierwszy raz podpadał pod sztraf pieniężny; za drugim razem cybuszek *przedzierzgano* mu przez nozdrza. Na weselach muzyka też była wzbroniona. Mężczyzni mogli tylko tańczyć z sobą, przy tamburynie, ale nigdy z kobietami. Łatwo pojąć, że życie zawarte w takich ciasnych ramach, na obcego nawet postrzegacza *musiało* smutne i ciężkie wywierać wrażenie; a cóż dopiero na krajowców?

Nietolerancya dla chrześcian jest także jednym ze skutków wpływu szariatu na umysły górali dagestańskich. Pozdrowić chrześcianina słowy: acalam — *alejkium*, (pokój z tobą), uważa się za antireligijne; a więc chytrzy muzułmanie, kiedy muszą powitać chrześcianina, zamieniają je słowy: asam - alejkium, (biada ci!). Muzułmanie fanatycy nie lubią żeby chrześcianin brał do rąk ktorą z ich ksiąg nabożnych. Popełnić krzywoprzysięstwo w sprawie chrześcianina i oszukać go, uważa się za rzecz również naturalną, jak nie jeść mięsa bydlęcia, zarżniętego ręką niewiernego. Na ogół miurydzi są bigoci, chytrzy, hypokryci, oszuści i szarlatani. Żeby dopiąć zamierzonego celu, miuryd nietylko w rozmowie z rossyanami wybornie umie udawać człowieka postępowego, ale jest przebiegły i z rodzonym bratem. Ażeby zyskać sławę sprawiedliwego i Bogu miłego alima, nie zawaha się udawać siebie za jasnowidzącego, który za łaską wielkiego Ałłacha może przepowiadać przyszłość, upadając w zulmat — rodzaj omdlenia, w którém podniesiony system duchowy dozwala mu, jakby przez pryzmat, widzieć mający się spełnić wypadek.



WYZNAWCA PROROKA.
Illustracya do poezyi W. Hugo. (str. 234).

Słowem, z jakiéjbądź strony nie patrzeć na szariat, nie można się nie zgodzić na to, że jest to uciążliwy system pojęć, przemocą wszczepionych w naród; system paraliżujący i zabijający wszystko co w człowieku jest ludzkiém; system nadwerężający i psujący wszystkie warunki życia. Krajowcy przy Szamilu czynami swymi zawsze protestowali przeciwko szariatowi. Nie zważając na wzbronienie przezeń tańców, górale zbierali się nocami, potajemnie od szpiegów, do stajni i sklepów i urządzali w nich zabawy z tańcami. Srogie tylko i okrutne środki imama mogły zmuszać ludzi do pozornego wypełniania zleceń szariatu. Rzecz więc naturalna, że górale dagestańscy, oswobodzeni obecnie od wpływu niesumiennych fanatyków, wogóle łatwo rozstają się z ideami, które im narzucali wielbiciele wielkiego *proroka*. *Obecnie* najwięcéj zwolenników szariatu jest jeszcze w średnim Dagestanie. Krajowcy tameczni znajdują się jakby w stanie przechodowym, nie wiedząc czy mają iść nadal ostrą, wytkniętą przez byłego głowę miurydyzmu, *drogą*, czyli też we względzie ogólnego porządku rzeczy naśladować światlejszych od nich munafitów — wrogów miurydyzmu. Trzeba mieć nadzieję, że dobry przykład i *zdrowy* rozsądek, skłonią ich do połączenia się z ostatnimi.

II.

Charakter i obyczaje górali.

Wykazawszy szkodliwy wpływ szariatu na górali dagestańskich, przejdźmy do sposobu życia i dziennych ich zajęć.

W aułach góralskich najraniéj budzi się budun—pomocnik mułły. Przed wschodem słońca wszedłszy na płaski dach meczetu, dobitnie i przeciągłym głosem odmawia on krótkie *wiersze* z koranu, poczém prawowierni zaczynają wstawać. Kobiety szepcąc modlitwę zeskakują z pościeli, spiesznie grzeją wodę i zdejmują ze ścian miedziane albo drewniane miednice, w których dwoje ludzi wygodnie może się zmieścić. Miednice te zastępują góralom miejsce wanien. W nich codziennie, lub według potrzeby kąpie się prawowierna para — mąż z żoną. Chociaż ta kąpiel w pewnych godzinach, jako też i obmywanie siedmiu członków, zaleca się przez koran przedewszystkiém dla utrzymania ciała w czystości, cel ten jednak rzadko się osięga, bo górale nie myją się, a tylko zlewają się wodą. Biedni, nie mający dość wielkich naczyń, chodzą latem do wspólnych kąpieli przy meczetach, a w ziemie oblewają się wodą z dzbanka w stajni. Po tém cielesném oczyszczeniu, kończą spiesznie poranną modlitwę i zawinąwszy się w swoje sahury (1),

(1) Osiołek miejscowy.

(1) Długie futro z baranów, z wielkim, dochodzącym do pasa, kapiszonem, szerścią na wywrót.

kładą się znowu spać. Rzadko, i tylko ludzie w wieku i piśmienni, po odmówieniu rannéj modlitwy, czytają kilka wersyj z koranu.

Tymczasem kiedy mężczyzni oddają się wzmacniającemu ciało spoczynkowi, lub zajmują się zbawienném dla duszy czytaniem, jedna z kobiet, zawiesiwszy na grzbiecie dzbanek, idzie po wodę; reszta członków familii albo opatruje bydło, albo robi kiziaki (2), przylepiając je do zewnętrznych ścian sakli i płotów. Żony nie przerywają snu mężów, póki ich nie obudzą uderzenia tłuczka o moździerz drewniany, w którym tłuką czosnak dla zaprawy chinkałów (3).

Podczas tęgich mrozów górale zatarasowawszy się w swoich przeświécających się saklach, nie wychodzą bez ważnéj potrzeby na ulicę, aż nim zabłyśnie słońce. Wówczas jak żuki wyłażą ze swych domóstw; mężczczyzni, kobiety i dzieci, i snują się jak mrówki po dachach, lub leżą, wygrzewając się na słońcu, gdzieś w zasłoniętym od wiatru zakątku, śród wywracających koziołki dzieci. Ostatnie zawsze półnagie, chociaż ubranie ich zakrawa niby na zimową odzież. Składa się ono ze starego, podartego półfuterka, z oderwanymi po plecy rękawami, nie zakrywającymi ani piersi, ani żołądka, i z również podartych, połatanych, płóciennych, albo bawełnianych spodni, spadających cokolwiek niżéj kolan. Na nogach mają buty z wojłoku, lub ze skóry, z cholewami dochodzącemi tylko do kostek, tak, że golenie zawsze są gołe. Zamiast papacha (4) noszą na głowie rodzaj kołpaka z wojłoku, albo tulję (5) ze skóry owczéj, albo téż papach z oderwanym wierzchem. Twarzy, rąk i nóg, nie mówiąc już o reszcie ciała, w ciągu całéj zimy ani razu dzieciom nie myją. Gruba warstwa sadzy i brudu stale je pokrywa, a skóra w wielu miejscach aż do krwi jest popękana. Przyłożywszy do niéj rękę, daje się uczuwać jakaś chropawość, rażąca w sposób bardzo nieprzyjemny zmysł dotykania; całe bowiem ciało dzieci pokryte jest małymi guzikami, jak to bywa u oszczypanéj gęsi, między któremi często widać i świérzbę. Głowy ich, mimo to że często są golone, prawie zawsze pokrywają brzydkie liszaje.

Wszystkie miejsca, do których dochodzi promień zimowego słońca, zajmują górale. Ciepło słoneczne usposabia ich do zajęć przyjemnych. Na każdym dachu widać grupy górali, siedzących i leżących w rozmaitém położeniu: jeden, zdjąwszy brudną koszulę, z uwagą wpatruje się w jéj fałdy i poluje na szurszuliw-żu (6). Radość którą myśliwcowi sprawiają te łowy, odbija się na jego blado-żółto-brudnéj twarzy. Przekonawszy się że co większe zwierzęta są już zniszczone, i nie zwracając uwagi na małe, góral oddaje koszulę żonie dla naprawy. Żona rozpoznając tajemne części swojéj toalety, albo trzymając koszulę rozłożoną na kolanach, odkryta po pas, zajmuje się zwykle tém czém i mąż, ale na skinienie jego natychmiast odkłada swoje zajęcie na późniéj i bierze się do naprawy bielizny męża. Drugi, patrząc się w małe zwierciadełko, wyszczypuje sobie na policzkach i podbródku włosy, lub odbywa też samę operacyą na leżącym na wznak towarzyszu. Inni znów przebierając różaniec, z podjętą twarzą do góry i zamkniętemi oczyma, machinalnie szepcą modlitwę; a niektórzy, rozciągnąwszy się jak dłudzy, słodko drzémią, pod ogrzewającymi promieńmi bladego słońca. Cała ta grzejąca się ludność tak jest zajęta, każdy swoją pracą, że ani pomyśli o jéj przerwie.

Wszystko dotąd odbywa się spokojnie i cicho; lecz ciszę tę nagle przerywa zjawienie się gromady uliczników, z krzykiem ha—ha, ha—ha, zlewającym się z gniewliwém warczeniem gryzących się z sobą psów. Wówczas zajęcia ustają, i wszyscy, bez wyjątku: myśliwiec, operator, nabożniś i śpioch, nie mogąc oprzeć się pokusie, biegną w zawody tam, gdzie odbywa się szczwanie; starcy nawet, nie mogący dobrać się do miejsca spektaklu, podpełzają na koniec dachu, i patrząc zdaleka na gapiący się tłum, ochrzypłym głosem powtarzają, ha—ha! Kobiety tylko zostają na miejscu, każda przy swojém zajęciu, nie zwracając uwagi na zabawę mężczyzn, gdyż i ta przyjemność zapewne jest im wzbronioną. Szczwanie psów zajmuje u górali nie pośledniejsze w grach i zabawach miejsce, od wyścigów konnych. Od tego widowiska przechodzą zwykle do gry rzucania kamieni, w którą się bawią czasem po kilka godzin, w zimie i latem.

Wszystkie zajęcia i zabawy kończą się z zachodem słońca. W kilka minut po zachodzie słońca, (a w niektórych miejscach słońce świeci w zimie nie dłużéj jak do południa), nie widać już żywéj duszy, ani na dachach, ani na galeryach. Na ulicach tylko słychać wesołe głosy dzieci, kończących jaką zaczętą grę, lub téż po drożce, wiodącéj do fontanny, czy do przerębu na rzece, widać kobiety niosące wodę, albo po nią idące. Reszta ludności ukrywszy się w saklach, tłoczy się koło tlejących na kominie, lub pośród sakli, kiziaków, z suchego nawozu owczego, z kolącego burianu (7), sawanu (8), a rzadko tylko samotnego polana. W oczekiwaniu, nim nad ogniem zjawi się kocioł z chinkałami, prawowierni, przebierając w braku drugiego zajęcia brudny różaniec, marmoczą: lajlaga—il—ałłach, (niéma Boga prócz Boga). Nakoniec kocioł już zdjęty, gałki z ciasta gotowe, żona stawia je przed głodnym głową rodziny, który podsiadłszy bliżéj do zastawionéj przed nim wieczerzy i uzbroiwszy się w drewnianą pałeczkę zamiast widelca, mówi nabożnie: bismillagi rrachmana rrachimi, (w imie Boga wszechmogącego) i w milczeniu zajada kukurydzowe, bobowe, jęczmienne, albo prosowe gałki, maczając je w czosnaku, zaprawnym rydyl — kanc'em (9). A żona i dalsi domownicy, prócz dorosłych mężczyzn, wieczerzających z gospodarzem, czekają cierpliwie póki żołądek szanowego ich pana nie napełni się ubogą wieczerzą, zimne ostatki któréj dostają się już na ich dolę. Żony rzadko jedzą z mężami i to chyba wtedy kiedy nie ma obcego człowieka.

Małe dzieci zupełnie zadowolone z kolacyi, rozebrawszy się do naga i okrywszy swymi łachmanami, kładą się spać; ale dorosłym, którzy cały dzień spędzili na próżnowaniu, spać się nie chce, bo wreszcie kłaść się wcześnie nie jest nawet we zwyczaju u górali. W jakiż więc sposób zabić czas nim przyjdzie chwila spoczynku? Robotami wieczorem nie zajmują się, zresztą i nie ma co robić podczas długich wieczorów zimowych. Rzemiosła góral nie umié żadnego: mąż i żona nie mogą z sobą rozmawiać, (adatu nie ma); a więc siedzą sobie w milczeniu, skurczywszy nogi, albo zaczynają z nudy kłócić się. Od kłótni dochodzi nieraz do bójki, a niekiedy i krwawéj; — albo doczekawszy się nakoniec wezwania do piątego namazu (10), siadają zgiąwszy nogi na przyrządzonéj pościeli, nad którą rozesłany jest niewielki kobierczyk. Kobierzec ten nazywa się szamulib żu (11). Góral modląc się podściela go sobie pod nogi; po ukończeniu modlitwy opuszcza głowę na pościel, pomrukując nie obowiązujące wiersze z koranu, póki się mu to nie uprzykrzy.

Za to, kiedy w domu zdarzy się kunak (12), czas schodzi p[illegible]dko. Przyjaciele często po północy jeszcze rozmawiają z [illegible] o dawnych, przeszłych czasach, porównywając z teraźniejszymi i odgadując przyszłość. Od czegoby się rozmowa nie zaczęła, nieodmiennie przechodzi na ulubiony temat o męztwie i zręczności cewekchanów (13), starych i nowych. Legendy, powieści i pieśni górali po większéj części mają charakter wojenny; lubią jednak bardzo miłosne i religijne turki (14), śpiewane lub opowiadane przez żebraków. Czém fantastyczniejszą jest powieść, tém z większém słuchają jéj upodobaniem; czém mniéj jest w niéj prawdy, tém chętniéj w nią wierzą, zwłaszcza kiedy mowa jest o rossyanach. Opowiadaniom na korzyść rossyan, nawet przez spółrodaków, (rossyaninowi za nicby nie uwierzyli), chociażby takowe były udowodnione faktami, górale z trudnością wierzą, i często napadają na opowiadacza, obwołując go kłamcą, na téj podstawie, że człowiek jednéj z nimi wiary, przeżywszy pewien czas między ruskimi i zakosztowawszy ich czorpa (15), nie może inaczéj o nich odzywać się jak tylko dobrze i na szkodę swoich jednowierców. Żeby więc nie zasłużyć na niewiarę spółziomków, opowiadający ubarwia powieść swoję różnemi, częstokroć ostremi połajankami, i tém udaje się mu czasem przekonać ich o rzeczywistości wypadku. I tu, czém niedorzeczniejsze jest kłamstwo rozsiewane o rossyanach, tém chętniéj przyjmują je za prawdę. Jeżeli zaś nie ma kogo słuchać, ani ochoty modlić się, lub wszczynać kłótnie z żoną, wówczas górale idą powoli za przykładem dzieci; gaszą ogień i chowają się do pościeli, zostając w niéj bez żadnego odzienia, póki budun z poranną zorzą znów ich nie obudzi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

(2) Nawóz suchy ze słomą.
(3) Gałki z ciasta.
(4) Czapka czerkieska.
(5) Brzeg starego papacha.
(6) Pełzające żyjątka.
(7) Wysoka trawa stepowa w południowych Rossyi guberniach.
(8) Sieczka ze słomy.
(9) Ocet serwatkowy.
(10) Modlitwa.
(11) Rzecz rozściełana dla modlitwy.
(12) Przyjaciel, powinowaty.
(13) Dowódca.
(14) Wiersz.
(15) Zupa, barszcz.

PRASSA PERYODYCZNA.

(Dalszy ciąg).

Kto chce wypocząć myślą i odmłodnieć duchem a oddalić się całkiem z areny po której harcują szermierze, kłótliwéj a podzielonéj na drobne kółka, prassy warszawskiéj — kto chce odetchnąć pełną piersią w czystéj atmosferze nieskażonéj młodości serca i w serdeczném, pokrewném mu duchem, choć nieznaném z ciała i krwi kole, ten niech przeczyta cały szereg „Listów z Podróży“ którą sędziwy A. E. Odyniec, niezrównany tłumacz Walter-Skotta, odbywając niegdyś z Mickiewiczem po szerokim świecie — dziś opisuje w szpaltach „Kroniki Rodzinnéj.“ Listy te tem są ciekawsze, że zawierają w sobie drobne szczegóły, rzucające światło na charaktery i młodzieńcze usposobienia, takich nawet ludzi, którzy następnie, z czasem, wyrośli na olbrzymów w dziejach literatury naszéj. W opisach tych, jakby poufnych, panuje nietylko ton odpowiedni, lecz rozlewa się także i serdeczne ciepło, dziś już nieznane prawie w kółkach literackich — Nawet czytelnik obojętniejszy dla samych osobistości ludzi tam opisywanych — jeszcze w tych „Listach“ znajduje wiele nader cennego materyału,—malują one bowiem pojęcia i uczucia dla sztuki owczesnego społeczeństwa, a niekiedy nawet rzucają światło i na szersze widnokręgi, jak to ma miejsce np. w opisie odwiedzin Mickiewicza i Odyńca u sławnego autora Fausta, Goetego.

To też niemcy, którzy z wielką troskliwością śledzą wszystko cokolwiek może mieć styczność z wielkiemi postaciami ich literatury, pochwycili natychmiast sposobność i tę część Listów Odyńca, przetłumaczywszy, ogłosili drukiem, wraz z zamieszczeniem gorącej dla autora pochwały. — Obok tych Listów Odyńca spotkaliśmy także w najświeższych numerach „Kroniki Rodzinnéj“ bardzo ciekawe notatki z podróży do Niemiec i Francyi, odbytéj w roku 1837, p. Józefa Brzowskiego, dzisiejszego Inspektora Konserwatorium muzycznego. Autor opowiada tam, w stylu prostym i potocznym, choć niepozbawionym wdzięku i dowcipu nawet, swoje stosunki z artystami, których czoła otacza dziś aureola chwały. Chopen, Liszt, Lipiński, Meyerbeer, Halevy, Cherubini, Rubini, Nurritt, La Blache, Giulietta Grisi, Tamburini; z literatów: George Sand i Eugeniusz Sue, przesuwają się tam w świetnym kalejdoskopie. Z tych skromnych notatek p. Brzowskiego można powziąść dokładne wyobrażenie o stanie muzyki i o jéj dziejach — bardziéj może niż z niejednych uczonych studiów. Czytając je, doprawdy, dziwić się przychodzi dla czego p. Brzowski nie ogłosił tak ciekawych i tak przyjemnie a światle opowiadanych „wspomnień“ swoich. Jako perłę czystéj poezyi, spotkaliśmy jeszcze, także zamieszczony w ostatnich numerach „Kroniki“ wiersz Teofila Lenartowicza p. t. „Tęsknota“ Ileż to płomiennego uczucia i nieokreślonéj tęsknoty — mieści się w téj jednéj piosence!. Prosta ona i zda się łatwa, jakby w jednéj chwili z pod pióra, jak łza z pod powiek spadła, a przecież cały poemat w niéj się zawiera... Niejesteśmy za przytaczaniem w całości artykułów zamieszczonych już w innych pismach, lecz tu zaledwie możemy oprzeć się pokusie — choćby ze względu że takie urocze klejnoty poezyi, powinny być rozpowszechnione jak najbardziéj — i nie tylko w pismach lecz i w sercach wszystkich ludzi, czujących ich piękność, wyryte.

Po takiéj „Tęsknocie“ nie należało już chyba dawać, zaraz w następnym numerze „Przepióreczki“ pani Seweryny Duchińskiéj — chociaż wyznać trzeba że i w téj, także drobnéj i także prostéj piosence, wiele bardzo uczucia i prawdziwéj poezyi połyska. Zresztą uważaliśmy że „Kronika Rodzinna“ nie lubi kwiatów poezyi zrywanych na szczytach skał, piorunami zwątpień podartych, lub na wyżynach oświeconych błyskawicami bolesci — lubuje się ona tylko w takich słodkich ptasząt świergotaniach i zarówno przepioreczkę jak i „Jaskółkę“ pod swoje skrzydło rada tuli. Może to nieco jednostajne — dla wielu a i dla nas także — lecz za to odpowiada ściśle barwie tego pisma.

Są u nas obecnie dwa aż pisma poświęcone wyłącznie kobietom i ...modzie, mamy tu na myśli „Bluszcz“ i „Tygodnik Mód.“ Pierwsze z tych pism tygodniowych, odznacza się redakcyą nadzwyczaj staranną i trzeba wyznać, że wypełnia zakres swojego programu nie tylko umiejętnie lecz i sumiennie razem. Nic w tém piśmie nie skazi smaku ani obniży skali pojęć najczystszéj niewiasty lub dziewicy — a co większa, że przy takim dość trudnym do spełnienia warunku, treść artykułów zawartych w „Bluszczu“ prawie zawsze stoi na wysokości wymagań sztuki i postępu. Dzieje się to z powodu że kierunkiem literackim tego pisma a zarazem i jego główną kollaboracyą zajmuje się pani Ilnicka, kobieta posiadająca talent najczystszéj wody i nieprzebrane źródło uczucia i natchnienia w sercu. Każda jéj poezya, od czasu do czasu, ukazująca się w szpaltach tego pisma, odznacza się prawdziwém namaszczeniem. Snadź autorka pisze wtedy tylko gdy czuje rzeczywiste powołanie, gdy zamkniętym w jéj piersi ptakom natchnienia, koniecznie już wylecieć na przestwory podsłoneczne trzeba... Pamiętamy też kilka wybornych powieści zamieszczonych w Bluszczu; jedna z nich „Tarłowa Góra“ nie podpisana przez nikogo, dowodzi zdumiewającéj skromności autora, albowiem jest ona w swoim rodzaju, małém arcydziełem. Wielki malarz i niemały poeta, złożyli się na tę prześliczną „Górę.“

(Dalszy ciąg nastąpi).

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(Dalszy ciąg).

— Jednak malujesz, moja ptaszyno...

— Chyba nie.

— Moja droga, wszyscy jesteśmy malarzami, choć czasem sami nic wiemy o tém. Malujemy od rana do wieczora. O czémkolwiek usłyszymy, malujemy to natychmiast. Czyż można wyobrazić sobie świat bez obrazu, przestrzeń pustą, cichą, jak śmierć? A i to jest obrazem — to chaos Miltona. Nie mogłabym żyć, gdybym nie miała pośrednika między mną i światem zewnętrznym, to jest, sztuki obrazowania. Tak więc, oboje jesteśmy malarzami.

— Dobrze więc — rzekła Sybilla; widzę jéj twarz teraz gdy zamknę oczy. Widzę ją doskonale.

— Rozumie się, widzisz, i dołki w licach i fale włosów.

— Szydzisz pani ze mnie, a ja tak nieszczęśliwa! Lepiéj pójdę i napiszę do niéj.

— Możesz, to ci ulgę sprawi.

Sybilla poszła do swego pokoju, ale przechodząc mimo tego który przeznaczyła dla swojéj przyjaciółki, nie mogła oprzeć się pokusie zajrzenia do niego. Był to obszerny pokój, umeblowany w stylu poważnym. Dwa głęboko wsadzone okna, w około których na zewnątrz wisiały wieńce winnéj latorośli, mało wpuszczały światła; zielone adamaszkowe firanki w ciężkich fałdach spadały od sufitu aż do ziemi, osłaniając sobą majestatyczne łoże.

Pokój ten wyglądał dość smutnie, ale był bardziéj romantyczny niż inne. Sybilla postanowiła w nim umieścić Blankę. Zajmował on stanowisko narożne, a każde jego okno dawało widok na inną stronę.

— Jéj się to spodoba — myślało młode dziewczę, zbliżając się do jednego okna. Otworzyła je i wsparła się na szerokiéj, kamiennéj ramie.

— Ona musi tu przyjechać — musi — powtarzała sobie.

Oczy jéj z roskoszą błądziły po rozległych obszarach okolicy, zamkniętych chmurami widnokręgu. Krajobraz był melancholiczny, ale bardzo piękny, zwłaszcza przy blasku zachodzącego słońca.

— Blanka tu będzie marzyć — myślała Sybilla — a tu, będzie pracować.

Otworzyła drugie okno i spojrzała na dół, na szczupły staroświecki ogród, z którego dolatywał słodki zapach róż i rezedy.

— Pożyczę jéj Dicka — myślała Sybilla — tu może jego klatkę zawiesić; a ponieważ nie lubi zajmować się kwiatami, będę co rano przychodzić i sama karmić Dicka. Biedny stary Dick! Może mu się tu nie podoba.

Była to kwestya trudna do rozwiązania. I podczas gdy nad nią rozmyślała, ojciec jéj otworzył drzwi, wszedł niepostrzeżenie do pokoju i zawołał nad samém uchem: Sybillo! — kładąc rękę na jéj ramieniu.

Sybilla spojrzała na niego z uśmiechem, wywołując wzajemny uśmiech w odpowiedzi na pięknéj twarzy ojca.

— Cóżeś tu robiła? zapytał—marzyłaś, jak zwykle, Sybillo? Sybilla kiwnęła głową.

— Dobrze, młoda gosposiu, potrzeba żebyś ten pokój przysposobiła na noc.

— Blanka przyjedzie! krzyknęła Sybilla.

— Blanka! powiadam ci, ja nie chcę mieć tu téj panny.

— Ale to Blanki pokój, — żwawo odpowiedziała Sybilla — dla niéj go przeznaczyłam.

Kennedy się rozśmiał.

— Nieporównana Blanka musi się obejść bez niego. Zielony pokój potrzebny mi jest dla stryja Edwarda.

Sybilla wstała i spojrzała w twarz ojca z najwyższém podziwieniem. Nigdy dotąd nie słyszała o stryju Edwardzie. Jeżeli wypytywała ojca o rodzinę jego, zawsze jéj odpowiadał na wpół żartem:

— Jestem grzyb, Sybillo; a grzyby, wiesz, wyrastają gdziebądź i w jakibądź sposób.

Miss Glyn także nie była rozmowną w tym przedmiocie. Opowiadała o rodzinie Glyn, jako dawnego pochodzenia i znakomitéj niegdyś, ale o Kennedych zawsze milczała. Gdy pytano pani Mush, ta wpadała w jakieś filozoficzne dyssertacye, tak, iż według wewnętrznego przekonania Sybilli, ojciec jéj był podrzutkiem i wcale nie miał rodziny. Wielkie więc było jéj zdziwienie gdy usłyszała o egzystencyi tego nowego brata. Chciałaby była się pytać, ale nie śmiała. Kennedy był czułym i wyrozumiałym ojcem; jego maniery, twarz, były pełne naturalności i prostoty; wyglądał na szczerego mężczyznę; ale mało kto z otaczających go lub z dalszych wiedział co James Kennedy czuje, myśli lub robi. Tak i Sybilla, choć była pieszczoną i czule kochaną córką, stała teraz wahająca się i trwożliwa.

— Czyż twój brat, a mój stryj, kochany ojcze, koniecznie ma mieć ten pokój?

— Tak, Sybillo, musi mieć.

— Ojcze, ośmielając się, zapytała Sybilla, jak wygląda stryj Edward.

— Zobaczysz go dziś wieczór, moje dziecko, — odpowiedział Kennedy.

— Powiedz mi co o nim, bo inaczéj będę musiała mojego nowego stryja sama pytać o wszystko, a to będzie niestosownie, nieprawdaż?

Kennedy rozśmiał się, uszczypnął córkę w policzek, ale nie zadowolnił jéj ciekawości i wyszedł z pokoju, nie rzekłszy ani słowa. Sybilla rościekawiona do najwyższego stopnia, pobiegła do pani Mush. Bez tchu prawie wpadła do jéj pokoju i wykrzyknęła ze zwykłą sobie żywością:

— Pani Mush, co ja mam robić?

— Zupełnie nie wiem moja droga, — odpowiedziała zapytana wesoło; — możesz się puścić balonem, jeżeli chcesz.

— O, droga pani, nie żartuj ze mnie.

— Moje kochanie, nie żartuję, wyglądasz jakby ci tylko skrzydeł brakowało. Ładna by z ciebie była Psyche.

Sybilla zarumieniła się, a że pragnęła się podobać, a pani Mush widocznie znajdowała ją piękną w téj chwili, spojrzała więc na nią wzrokiem wdzięcznym i zadowolonym, poczém rzekła poważniéj.

— Téj nocy ma przyjechać jakiś mój stryj, a ja nigdy o nim nie słyszałam, aż do téj chwili...

— Nie słyszałaś?

— Nie — nigdy. — A pani?

Pani Mush pomyślała trochę, nim odpowiedziała:

— Moje życie, ja mam tak nieszczęśliwą pamięć.

— Jestem prawie w osłupieniu, mówiła daléj Sybilla, to wydaje się niedouwierzenia... Nie przypuszczałam nic podobnego.... aż tu nagle jest stryj!

— Dobrze, moja droga, szanuj go, kiedyś go dostała. Krewni to także śliczny wynalazek — wynik małżeństwa. I to jest żywy cud w moich oczach. Nikt sobie nie wyobraża dwóch osób żyjących razem inaczéj, tylko że to mąż i żona, lub też krewni. Przyjaźń, to bardzo ładna rzecz, ale nam potrzeba koniecznie pokrewieństwa.

— Lecz on zupełnie jest obcy dla mnie, mówiła daléj Sybilla, nie mogąc zapomnieć o téj ważnéj kwestyi. — Nie mogę myśléć o nim jako o stryju, i spodziewałam się usłyszéć od pani pewne wyjaśnienia.

— Moja droga, nikt nie wie nic o rodzinie twego ojca. Przybył i zaślubił moję kuzynę, ale uczynił to tak, jak romantyczny oblubieniec w balladzie — przybył sam; a muszę jeszcze dodać, że nie lubił odpowiadać na pytania dotyczące swojéj genealogii.

— I on ma zająć pokój Blanki! — z oburzeniem rzekła Sybilla.

— Tak, to bardzo niemiłe.

— Ale mu nie dam Dicka.

— To będzie dla niego surową karą.

— Ja go nie będę kochała.

Pani Mush nie wątpiła o tém. To niespodziewane potakiwanie uspokoiło w pewnéj mierze uczucia Sybilli, która dość obojętnie przysposobiła zielony pokój dla swego stryja. Była nawet wesołą; a jeżeli mamy wyznać prawdę, była niezmiernie ciekawa i niespokojna za nadejściem nocy. Lecz widać Sybilla skazana już była na udręczenie, zarówno zapowiedzianą obecnością, jak i nieobecnością stryja. Cała rodzina siedziała, oczekując napróżno do dwunastéj. Brat pana Kennedy nie przybył.

— Ja będę jeszcze siedział, rzekł Kennedy, — ale ty Sybillo możesz iść spać.

Sybilla usłuchała, ale téj nocy spała niespokojnie. Co godzina budziła się; zdawało jéj się że słyszy pukanie do bramy, a nawet że słyszy dziwne, poważne stąpanie po schodach.

— Czy stryj przyjechał? zawoła, spotkawszy się z ojcem rano.

— Nie, odpowiedział zimno; a gdy się odwrócił, spostrzegła że wyglądał znękany, jakby trapiony kłopotami.

W ciągu dnia spodziewała się że lada chwila oczekiwany gość przybędzie i wypogodzi czoło ojca — ale napróżno. Tak samo przeszedł dzień następny i jeszcze po nim drugi.

Sybilla się dręczyła. Ciągłe wyczekiwanie wprawiało ją w gorączkę. Do ojca nie mogła mówić, gdyż nie przyjąłby rozmowy w tym przedmiocie, a pani Mush nie miała jéj nic do powiedzenia.

— Moja droga, — tłumaczyła jéj wesoło, — są istoty których byt ogranicza się tylko do naszéj wyobraźni. Tam mają i mieszkanie i nazwę. Może panu Kennedemu śniło się że ma brata, albo może śniło ci się że ojciec mówił ci o takiéj osobie. Zdaje mi się iż jest jakiś system filozoficzny, według którego nic na świecie nie istnieje w substancyi ale tylko w pozorze. Kto wie, może twój stryj niewidzialny stanowi cząstkę takiego systemu?

Było coś uderzającego w téj mowie, a raczéj w tonie i spojrzeniu, z jakiemi była wypowiedziana. Jakkolwiek poloty pani Mush obfitowały w paradoksy, wypowiedziała je przecież zwykle z pewną irlandzką gwałtownością, świadczącą iż mówiła o nich serio. Może w pięć minut późniéj nie myślała już tak jak przedtém; ale mówiąc, wypowiadała z przekonaniem to co czuła. Teraz zaś zdawało się Sybilli że te fantastyczne uwagi nad jéj stryjem Edwardem, przyłączonym do filozofji niesubstancyalnéj, były powiedziane dla tego tylko, żeby coś powiedzieć.

— Pani Mush, rzekła poważnie Sybilla, czy cię nie zastanowił wzrok ojca, w ciągu tych kilku dni ostatnich?

— Jaki wzrok? powoli zapytała pani Mush.

— Jakiś zmartwiony... Lękam się czy nie stracił pieniędzy, i to pewno z powodu tego pana Smitha.

— Tak myślisz? — flegmatycznie rzekła pani Mush, i zwróciwszy się do okna patrzała na zielony krajobraz i błękitne niebo, pozornie z wielkiém zajęciem, ale zdawało się że umyślnie dla tego, żeby jéj kto nie obserwował.

Serce Sybilli się ścisnęło. Ile razy zaczęła mówić o przybyciu stryja, ojciec jéj mienił się. Był niespokojny i rozdrażniony. I pani Mush się zmieniła. Nadto, zdawało się Sybilli że była jakaś tajemna sprzeczka pomiędzy ojcem i nią. Ile razy znów Sybilla napadała na nieobecnego Smitha, tyle razy pani Mush stawała w jego obronie. Wszystko to sprawiło, że imaginacya Sybilli zaczęła poruszać wodze bez granic w tym zagadkowym kierunku.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wydawczyni, Kazimiera Mosch. Дозволено Цензурою 10 (22) Iюля 1871 г. — Redaktor Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.